

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 2(30)

WARSZAWA

1959

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

Od Redakcji	107
-------------	-----

ARTYKUŁY

Tadeusz Pobożniak, <i>Problem językowy w Indiach</i>	111
A.N. Kononow, <i>Trzydziestolecie reformy alfabetu w Turcji</i>	123
Aleksander Dubiński, <i>Początki zainteresowań językiem i literaturą karaimską w nauce europejskiej do końca XIX wieku</i>	135

*

Tadeusz Andrzejewski, <i>Królowie, złodzieje, kapłani i księgi</i>	145
Wiesław Kotański, <i>Żaponista w Japonii</i>	161

UTWORY LITERACKIE

P'u Sung-Ling, <i>Uczony Feng Jang</i> (z chińskiego przełożyła Halina Smisniewicz-Andrzejewska)	173
Tāhā Husein, <i>Dni</i> (z arabskiego przełożył Józef Bielański)	177
Sait Faik Abasıyanık, <i>Fiolkowa dolina</i> (z tureckiego przełożyła Lucyna Antonowicz-Bauer)	189
<i>Z poezji gruzińskiej</i> (z gruzińskiego przełożyli Jan Braun i Mieczysława Buczkówna)	195

ZAGADNIENIA TRANSKRYPCYJNE

Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Kilka uwag o transkrypcji polskiej wyrazów sanskryckich</i>	203
--	-----

MATERIAŁY I NOTATKI

Jan Reychman, <i>Nowy alfabet dla ludności tatarskiej w Rumuńskiej Republice Ludowej</i>	211
Edward Tryjarski, <i>O „Historii wojny chocimskiej” i autorach ormiańskich Kronik Kamienieckich</i>	213

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

<i>Opowiadania egipskie</i> (Kazimierz Michałowski)	217
<i>Josef Klima, Prawo Hammurabiego</i> (Krystyna Łyczkowska)	219
<i>Lukasz Hirszowicz, Iran 1951 — 1953. Nafta, nacjonalizm, imperializm</i> (Bogdan Składanek)	221
<i>Pamiętniki sztuki Indii w sobranijach muzeów SSSR</i> (Stanisław Małachowski)	222
<i>André Falk, Turquie</i> (Edward Tryjarski)	225

KRONIKA

Z życia naukowego na polu orientalistyki	
<i>Sprawozdanie z działalności Komitetu Orientalistycznego PAN w rok 1958</i>	233
<i>Sprawozdanie z działalności Zakładu Orientalistyki PAN w roku 1958</i>	234
<i>Sprawozdanie z działalności Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego w roku 1958</i>	237
<i>Sprawozdanie działalności Krakowskiego ośrodka orientalistycznego w roku 1958</i>	238
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	241

SPIS TABLIC

Do art. A. Dubińskiego, <i>Początki zainteresowań językiem i literaturą kare- ińską</i>	TABL. I — IV
Do art. T. Andrzejewskiego <i>Królowie, złodzieje, kapłani i księgi</i>	TABL. V — XII
Do art. W. Kotańskiego, <i>Japonista w Japonii</i>	TABL. XVII — XVII
Do noweli Tāhā Huseina, <i>Dni</i>	TABL. XVIII — XIX
Do Materiałów i Notatek	TABL. XX — XXI

*

Winetka na okładce przedstawia inskrypcję Sabejską wyrytą na skale w Ridźm Kapul (Syria)

TABLE DES MATIÈRES

<i>De la part</i>	107
-------------------	-----

ARTICLES

Tadeusz Pobożniak, <i>Le problème linguistique aux Indes</i>	111
A.N. Kononow, <i>Trente ans de réforme de l'alphabet en Turquie</i>	123
Aleksander Dubiński <i>L'éveil de l'intérêt pour la langue et la littérature caraitte dans la science européenne jusqu'à la fin du XIX siècle</i>	135

*

Tadeusz Andrzejewski, <i>Les rois, les voleurs, les prêtres et les livres</i>	145
Wiesław Kotański, <i>Un japoniste au Japon</i>	161

TRADUCTIONS

P'u Sung-Ling, <i>Le savant Feng Jang</i> (traduit du chinois par Halina S m i s- niewicz-Andrzejewska)	173
Taha Hussein, <i>Les jours</i> (traduit de l'arabe par Józef Bielański)	177
Sait Faik Abasiyanik, <i>La vallée des violettes</i> (traduit du turc par Lucyna Antonowicz-Bauer)	189

P'U SUNG-LING

UCZONY FENG JANG

Nowelka *Uczony Feng Jang* należy do obszernego zbioru opowiadań, znanych pod tytułem *Liao Czai-Ki-I*. Autor ich P' u Sung-ling, żyjący w XVII wieku, pisze w martwym już języku klasycznym nowelę o tematyce bardzo popularnej i atrakcyjnej dla szerokich rzesz czytelników.

W utworach tych, które chciałyby się nazwać bajkami (gdyby nie niekiedy zbyt naturalistyczne ujęcie spraw erotycznych) mieszają się elementy obyczajowości i realia życia codziennego, z elementami fantastyki ludowej, jak ingerencja rozmaitych duchów, mary, zwidy itp.

H. S.—A.

Uczony Feng Jang przypiął na plecy tornister i ruszył w daleką podróż.
— Za pół roku wrócę — powiedział do żony.

Upłynęło więcej niż dziesięć miesięcy, a od niego nie było żadnej wiadomości. Żona wyczekiwała go bezustannie.

Pewnej nocy, gdy blask księżyca wytwarzał ruchliwe cienie, leżała na poduszce nie mogąc zasnąć i przewracając się z boku na bok w bolesnej tęsknocie. Nagle spostrzegła że do pokoju, rozsunięszy zasłony, weszła jakaś piękna dziewczyna. Włosy miała zaczesane ku górze i ozdobione perłami. Odziana była w długą, purpurową szatę. Uśmiechając się spytała:

— Starsza siostrzyczko, czy nie pragniesz zobaczyć swego męża?

Zamiast odpowiedzi żona uczonego szybko wstała. Piękna dziewczyna namawiała ją, by wyszły razem. Gdy żona lękała się niebezpieczeństw podróży, piękna dziewczyna prosiła ją, żeby się niczego nie bała. Pochwyciła ją za rękę i wyszły. Po chwili, wspinając się po księżycowym blasku, oddaliła się od żony uczonego na odległość lotu strzały.

Widząc, jak piękna dziewczyna oddała się szybko żona uczonego przeraziła się, że dla niej droga będzie zbyt uciążliwa. Zawołała na dziewczynę, by zatrzymała się chwilę. Zamierzała bowiem wrócić do domu po buty. Wtedy dziewczyna poleciła jej usiąść przy drodze, ściągnęła swoje pantofle i podała jej. Żona uczonego włożyła je z radością. Na szczęście pasowały, ruszyły więc obie dalej. Szły tak prędko, jakby miały skrzydła.

W pewnej chwili spostrzegły uczonego, zbliżającego się na białym mule. Ujrawszy żonę zdumiał się bardzo. Co prędzej zsiadł z muła. Zapytał, dokąd idzie. Odpowiedziała, że wyszła go szukać.

Wtedy zapytał, kto jest ta piękna dziewczyna. Żona nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo dziewczyna zasłoniła jej usta ręką i sama odpowiedziała z uśmiechem:

— Nie wolno tak wypytywać o wszystko. Twoja żona jest bardzo zmęczona, ty sam podróżowałeś pół nocy. Jesteście oboje — a także i zwierzę — na pewno bardzo utrudzeni. Niedaleko stąd jest mój dom. Zapraszam was na wypoczynek. By nie tracić czasu wyjedźcie wczesnym rankiem.

Niedaleko widać było wioskę. Ruszyli razem.

Weszli do pałacu. Piękna dziewczyna zbudziła służącą i poleciła jej przywitać gości.

— Dzisiejszej nocy — powiedziała — księżyc jest bardzo jasny, nie trzeba palić świecy. Usiąść możemy na kamiennej ławeczce, na tarasie.

Uczony przywiązał muła do słupa ganku i usiadł. Piękna kobieta powiedziała do żony uczonego:

— Moje buty są pewnie na ciebie za duże. Czy nie dokuczyły ci w drodze? Oddaj mi je, bo nie będziesz wracała pieszo do domu.

Żona zwróciła jej buty dziękując.

Po chwili przyniesiono wino i owoce. Dziewczyna rozlewając napój powiedziała:

— Mąż i żona byli długo rozdzieleni, bieg losu odmienił się dzisiejszej nocy. Tę czarke wina pozwolę sobie spełnić za ich pomyślność.

Uczony wziął nefrytową czarke i wypił wino dziękując. Gość i gospodyni śmiali się i rozmawiali, oboje byli sobą coraz bardziej zajęci. Małżonkowie, którzy się tak nagle spotkali, nie wymienili dotąd żadnego czulego słowa.

Oczy pięknej dziewczyny stawały się coraz bardziej uwodzicielskie, a to, co mówiła kryło w sobie jakąś zagadkę. Żona siedziała milcząc. Udawała, że nic nie rozumie z rozmowy.

A ci dwoje, ciągle pijąc, coraz bardziej spoufalali się ze sobą. W pewnej chwili piękna dziewczyna podsunęła uczonemu kielich w kształcie wielkiego rogu. Uczony wymawiał się mówiąc że wypił już dużo; gdy zachęcała go nadal, powiedział z uśmiechem:

— Jeśli chcesz, bym wypił jeszcze, musisz mi coś zaśpiewać.

Nie odmówiła. Wzięła lutnię z kości słoniowej, przetarła ją i zaśpiewała:

Niechaj żółta mgła oczyści się z fałszów i krzywd.

Przez jedwabne zasłony przenika zimny wiatr.

Słysząc szelest bananowych krzewów.

Raz po raz padają krople deszczu.

Gdzie mój ukochany?

Czy z ludźmi puste prowadzi rozmowy?

Przebijam wzrokiem jesienny deszcz,

Nie widzę by wracał do domu!

Nawpół otępiła od łez,

Raz kocham go, raz nienawidzę.
W ręku trzymam haftowane buty,
O jego losach wróżę z nich.

Skończywszy rzekła:

— To bardzo pospolita piosenka, nie ma co jej słuchać. Prosty lud ją lubi, dlatego próbowałam ją zaśpiewać.

Głos miała subtelny, a zachowaniem swym kusila coraz bardziej. Uczony, pełen wahań i niepokoju, powoli tracił panowanie nad sobą.

Po pewnym czasie, piękna dziewczyna udając senną opuściła matę. Uczony też wstał i poszedł za nią. Nie wracali długo. Zmęczona służąca ułożyła się do snu na tarasie.

Żona została sama. Była oszołomiona. Serce jej płonęło gniewem. Tego było już dla niej za wiele. Pragnęła uciec stąd jak najszybciej. Nie знаła jednak drogi, a tu noc dokoła. Namyslała się, co zrobić. Wstała i poszła szukać męża i gospodyni. Gdy zbliżyła się do zasłony — usłyszała jakieś czułe szepty. Mogła podsłuchiwać niezauważona. Słowa, jakimi mąż zwykł był przemawiać do niej — skierowane były teraz do pięknej dziewczyny. Drżały jej ręce, serce kołatało. Żadne niebezpieczeństwo nie zdołałoby jej teraz powstrzymać. Wołała wyjść na bagna i rozlewiska, choć groziły śmiercią, niż myśleć o tym, co działo się za kotarą. Wybiegła rozgorączkowana. Wtem spostrzegła swego młodszego brata, jadącego konno. Zatrzymała go.

Zsiadł z konia pytając, co się stało. Opowiedziała. San-lang rozgniewał się bardzo. Ruszył razem z siostrą.

Szli prosto do domu pięknej kobiety. Drzwi od pokoju były zamknięte, ale z łoża dochodziły jakieś szmery. San-lang podniósł wielki kamień i rzucił w szybę. Rozleciała się na kawałki. Z wnętrza rozległ się krzyk:

— Ojej! Rozbili mu głowę!

Usłyszawszy to żona uczonego zaczęła gwałtownie płakać.

— Nie chciałam żebyś zabijał mego męża! — krzyczała ze łzami. — Co teraz ze mną będzie?

San-lang zdumiał się.

— Swoim płaczem skłoniłaś mnie, bym przyszedł. Teraz gniewasz się na mnie. Na odmianę bierzesz w opiekę męża a nienawidzisz brata. Nie przywykłem do tego, by traktowano mnie jak sługę.

Odwrócił się i zamierzał odejść. Kobieta przytrzymała go za ubranie wołając:

— Czy nie odprowadzisz mnie do domu? Co mam teraz zrobić?

San-lang pchnął ją na ziemię i poszedł.

Żona uczonego zbudziła się przerażona. Od razu zrozumiała, że to był tylko sen. Ranek już wstał. Uczony rzeczywiście wrócił na białym mule. Była zdziwiona, ale nic nie mówiła. Nieco później uczonego opowiedział jej sen, jaki miał poprzedniej nocy. Wszystko zgadzało się do najmniejszego szczegółu. Ogarnął ich lęk.

Wkrótce przyszedł San-lang, który dowiedział się o powrocie szwagra. W rozmowie, powiedział uczonemu:

— Śniło mi się dziś w nocy, że wróciłeś. No i rzeczywiście — dziwił się temu ogromnie.

Uczony śmiejąc się dodał:

— Szczęście, że nie zginąłem od ciosu wielkiego kamienia.

— Dlaczego? — spytał wylężniony San-lang.

Wtedy uczony opowiedział mu swój sen. San-lang nie posiadał się ze zdziwienia. Śniło mu się bowiem, że spotkał płaczącą i wyrzekającą siostrę i pełen gniewu cisnął kamieniem.

Opowiedzieli sobie swoje sny. Nie wiedzieli tylko jednego — kim była piękna dziewczyna?

Z chińskiego przełożyła
Halina Smisiewicz-Andrzejewska



Tāhā Husein, najbardziej znany i najwybitniejszy humanista współczesnego świata arabskiego, przebył trudną i długą, lecz wspaniałą drogę życiową. Wyszedł ze skromnych kół prowincjonalnych, środowiska małomiasteczkowego, względnie wiejskiego i wbrew wszelkim przeciwnościom, dzięki zdolnościom i wielkiej dyscyplinie wewnętrznej, doszedł do wysokich godności naukowych i państwowych, zostając profesorem i uczonym na miarę światową, a również ministrem.

Urodził się w roku 1889 w małym miasteczku, zbliżonym raczej do wioski, w Środkowym Egipcie. Mając trzy lata spotkała go wielka tragedia, utracił bezpowrotnie wzrok wskutek choroby. To jednak nie przeszkodziło jego pięknej karierze. Obdarzony niepospolitymi zdolnościami szybko przeszedł tradycyjne wychowanie muzułmańskie w miejscowości rodzinnej, po czym wstąpił na słynną uczelnię muzułmańską al-Azhar w Kairze, którą chwalebnie ukończył. Niezadowolony ze studiów prowadzonych w duchu tradycyjnym, wstąpił na świecki Uniwersytet Kairski, który ukończył z odznaczeniem, otrzymując pierwszy doktorat tegoż Uniwersytetu w roku 1914. Jednak i to go nie zadowoliło. Otrzymał stypendium, wyjechał do Paryża i tam chlubnie ukończył na Sorbonie greckorzzymskie studia antyczne i literaturę francuską, otrzymując doktorat z literatury w roku 1918. Po powrocie do kraju został profesorem na Wydziale Literatury Uniwersytetu Kairskiego. Doskonałe przygotowanie Tāhā Huseina, bogata wiedza w połączeniu z nową metodą naukową, piękno języka i stylu, wysunęły go rychło na czoło uczonych arabskich; w roku 1932 został dziekanem Wydziału Literatury na Uniwersytecie. Jego oryginalne wystąpienia i poglądy na poezję przedmuzułmańską, szczególnie w dziele *Fīṣ-ṣi'r al-ġāhili*, oraz działalność polityczna wywołały reakcję kół ortodoksyjnych, co w rezultacie doprowadziło do czasowego zwolnienia go ze stanowiska profesora.

Nie był jednak długo w izolacji; był już zbyt znany, żeby pozostać w ukryciu, miał za sobą wszystkich światłych ludzi, profesorów i literatów. Pracował bardzo intensywnie, pisał i prowadził polemiki i dyskusje na wszelkie tematy dotyczące języka, literatury i kultury arabskiej, wnet też został restytuowany jako profesor, otrzymał również nominację na wysokie stanowisko w Ministerstwie Oświaty. W roku 1942 został pierwszym rektorem Uniwersytetu w Aleksandrii, do którego założenia walczył się przyczynił (obok Nağīb al-Hilālī). Nowa, nieprzyjazna dla niego fala polityczna odsunęła go ponownie na jakiś czas od życia publicznego w roku 1945, lecz też nie na długo. Jego popularność zwyciężyła. W międzyczasie zajmuje się publicystyką, walczy piórem ze swoimi przeciwnikami, kieruje awangardowym przeglądem społeczno-kulturalnym. Wreszcie uwieńczeniem jego kariery politycznej jest stanowisko ministra oświaty w latach 1950—52 oraz senatora.

Taka była kariera oficjalna i polityczna Tāhā Huseina. Jednak jest on przede wszystkim wielkim uczonym i pisarzem, niezrównanym mistrzem języka arabskiego. I teraz słynie głównie jako wielki pisarz, literat, nie tylko Egiptu i Zjednoczonej Republiki Arabskiej, lecz całego świata arabskiego. Jego twórczość jest bardzo bogata i różnorodna. Obejmuje szkice z dziedziny krytyki literackiej, artykuły publicystyczne, nowele, powieści oraz

studia z zakresu literatury i kultury arabskiej. Wykazywał on i wykazuje nadal niezwykle aktywność, będąc kolejno lub jednocześnie profesorem, działaczem społecznym i kulturalnym, politykiem, pisarzem itd. Nigdy nie stracił kontaktu z młodymi kandydatami na uczonych i literatów, udzielał im rad i kierował nimi, zachęcał do pracy, wyszukiwał talenty i przedstawiał je publiczności.

O ile chodzi o domenę literatury pięknej to należy wymienić na pierwszym miejscu jego bardzo popularną autobiografię *Dni* (*al-Ajjām*), której pierwsza część ukazała się drukiem w r. 1926—27 najpierw w czasopiśmie "al-Hilāl", a potem jako książka w r. 1929. Następnie ukazały się takie powieści, jak: *Krzyk kuropatwy* (*Da'wat al-karawān*, 1934), *Literat* (*al-Adīb*, 1935), druga część *Dni* (1939), *Sny Szeherezady* (*Ahlām Šahrazād*, 1943), *Drzewo nieszczęścia* (*Šağarat al-bu's*, 1944), *Męczennicy ziemi* (1949) i inne. Oprócz tego napisał studia o słynnych poetach arabskich, jak al-Mutanabbim (zm. 950) oraz al-Marrim (niewidomy poeta-filozof z XI w.), trzy tomy o życiu proroka Muhammada *Na marginesie pewnego żywota* (*Alā'l-hāmiš as-sira*), dzieło *Przyszłość kultury w Egipcie*, studium historyczne z pierwszego okresu islamu *Wielki przewrót* (*Al-Fitna al-kubrā*) i wiele innych. W sumie opublikował ponad siedemdziesiąt tomów dzieł i nadal jest jeszcze bardzo aktywny.

Taha Husein zyskał sobie również uznanie zagranicą. Świadczą o tym liczne odznaczenia, doktoraty honorowe i członkostwa znanych instytucji naukowych w krajach arabskich i europejskich. Jest on na przykład doktorem "honoris causa" uniwersytetów w Lyon i Montpellier, w Rzymie, Oxfordzie, Atenach i Madrycie. Jest członkiem Królewskiej Akademii Historii w Madrycie, Akademii w Teheranie, Dei Lincei w Rzymie, członkiem Akademii Arabskich w Kairze i Damaszku, kawalerem orderu Nilu, oficerem Legii Honorowej, Wielkiego Krzyża Orderu Alfonsa X w Hiszpanii, Orderu Leopolda w Belgii itd.

Jego autobiografia *Dni* jest znana w literaturze europejskiej dzięki licznym tłumaczeniom na języki: angielski, francuski, niemiecki (niewydany dotąd) i rosyjski. Angielskie tłumaczenie części I pojawiło się w Londynie w r. 1932 pt. *An Agyptian childhood: the Authobiography of Taha Hussein*. Transl. by H. Paxton. Częściowe tłumaczenie francuskie ukazało się w r. 1929 w opracowaniu J. Lecerf, *Mélanges de l'Institut Français de Damas, Section des arabisants*, t. I, s. 52—55). Rosyjskie tłumaczenie I. Krawczkowskiej (części pierwszej) ukazało się w r. 1931. W r. 1940 ukazały się obydwie części w tłumaczeniu francuskim (drugą część tłumaczył G. Wiet) pt. *Le livre des Jours*. Angielski przekład drugiej części ukazał się w końcu 1943 r. i potem w 1948 w tłumaczeniu H. Wayment'a pt. *The Stream of Days. A student of the Azhar*. Wreszcie obydwie części ukazały się w skromnej, lecz ładnej szacie w r. 1958, w tłumaczeniu Krackzowskiego, tytuł *Dni*, Moskwa 1958. (Polskie tłumaczenie przygotował piszący te słowa — dotąd nie wydane).

Dzieło to — to pięknie przedstawione wspomnienia ze smutnego dzieciństwa wcześniej ociemniałego chłopca na tle żywo opisanego środowiska wiejskiego w domu rodzinnym, stosunków panujących w miejscowej szkółce (cz. I), oraz wspomnienia z jego czasów zetknięcia się z czcigodną instytucją muzułmańską, al-Azharem, (cz. II). Autor opisuje w pięknym języku panujące stosunki, dając obrazki z życia studiującej tam młodzieży, tamtejszych profesorów (*ulemów*), krytykując ich przestarzałe metody nauczania.

Wspomnę na koniec, że miałem przyjemność zetknąć się kilkakrotnie z tym wielkim nestorem, czy "dziekanem" (*al-'amid*), jak go nazywają Arabowie, literatury arabskiej, w czasie mego pobytu w Egipcie w r. 1957/58. Jest dystyngowany i miły w rozmowie. Byłem też kilkakrotnie na jego wykładach z literatury arabskiej na Uniwersytecie Kairskim.

Jego wykład, który ciągle gromadzi licznych jego wielbicieli, prowadzony wzorowym klasycznym językiem arabskim, bez jakichkolwiek naleciałości dialektycznych egipskich, jest prawdziwą uczcą duchową dla miłośnika języka arabskiego.

J.B.

DZIECIŃSTWO

Nie pamięta nazwy tego dnia, nie potrafi ustalić jak umieścił go Allah wśród miesięcy i lat. Nie może też dokładnie przypomnieć pory dnia, może to określić tylko w przybliżeniu.

Wydawało mu się, że najprawdopodobniej był to ranek lub zmierzch. Ta myśl była najbardziej przekonująca, ponieważ przypominał sobie, że twarz jego muskał wówczas powiew wiatru, a lekki jego chłód nie zniknął od żaru słonecznego. Wyobrażał sobie, niemal pamiętał — mimo, że nie znał istoty światła i ciemności — niemal pamiętał, że gdy wyszedł z domu napotkał światło spokojne, lekkie, przyjazne, którego krawędzie pochłaniała jak gdyby ciemność. Ta myśl opanowała go również, ponieważ zdawał się pamiętać, że kiedy zetknął się z powietrzem i światłością, nie stwierdził wokół siebie wielkiego ożywienia, a jedynie lekki ruch, jakby budzenia się ze snu lub przygotowywania się do niego. A to, co wspominał wyraźnie i jasno, co do czego nie było wątpliwości, to ogrodzenie z trzciny, stojące przed nim, zaledwie o kilka niewielkich kroków od drzwi domu. Pamięta jak gdyby widział je wczoraj. Przypomina sobie, że trzcina była wyższa od niego, a więc było mu trudno przejść przez parkan, że trzcina była gęsta, jakby spleciona, a więc nie mógł prześlizgnąć się między nią, że ciągnęła się z lewej strony gdzieś bez końca, z prawej do krańców świata. A kraniec świata był blisko, tuż na kanale, z którym zapoznał się gdy był już starszy. Miał on wielki wpływ na jego życie, a raczej na jego wyobraźnię.

Przypomina sobie to wszystko, jak również i to, że zazdrościł królikom, które tak jak on wychodziły z domu, ale przechodziły przez ogrodzenie, przeskakując je lub przesmykując się pomiędzy trzcinami, chrupały zielone rośliny znajdujące się w pobliżu, a szczególnie kapustę.

Lubił wychodzić z domu, kiedy słońce już zaszło i ludzie jedli kolację. Wtedy opierał się o trzciniowe ogrodzenie, rozmyślając, zatapiając się w zadumie, aż przywracał go do otaczającej rzeczywistości głos wędrownego poety, który siedział gdzieś opodal z lewej strony. Wokół poety gromadzili się ludzie, a on śpiewnie, monotonicznie recytował dziwne opowieści o Abu Zajdzie, Chalifie i Dijabie¹. Wszyscy milczeli i tylko czasem porywała ich muzyka, albo podniecała namiętność pieśni i wtedy jedni domagali się powtórzenia jej, inni dysputowali i sprzeczali się. Wtedy poeta milkł, aż się po krótszym lub dłuższym czasie uspokajali. Potem ponownie zaczynał słodką, śpiewną recytację, o melodii prawie monotonnej.

¹ Imiona trzech bohaterów wielkiej opowieści (epopei) przedstawiające inwazję plemion arabskich (głównie Banū Hilāl) z Egiptu na Afrykę Północną w kierunku zachodnim w XI stuleciu.

I jeszcze pamięta, że gdy szedł wieczorem w kierunku ogrodzenia, serce jego ścisnęła dręcząca obawa. Bał się, że siostra zawoła i przerwie słuchanie recytacji. Gdy odmówi powrotu, ona podejdzie, chwyci go mocno za poję ubrania, on się będzie opierał, lecz ona weźmie go w ramiona i poniesie, jakby był jakimś zeschniętym liściem. Pobiegnie z nim tam, gdzie co wieczór układała go do snu na ziemi, lecz przedtem położy jego głowę na kolanach matki, a ta pochyli się do jego zaciemnionych oczu, otworzy je jedno po drugim i zpuści w nie krople, które mu tylko szkodziły, a nie przynosiły żadnej ulgi. Cierpiał ból, ale nie żalił się, ani nie płakał, gdyż nie chciał być podobnym do małej, płaczącej i jęczącej siostry.

Potem niesiono go do kąta w małym pokoju, gdzie na macie wyścielonej derką, siostra układała go do snu, narzucała nakrycie i zostawiała; a w sercu jego tały się troski — żale. Nadsluchiwał pilnie i niemal przenikał słuchem ściany, pragnąc pochwycić te słodkie melodie, które zawodził poeta na dworze, pod gołym niebem. W końcu morzył go sen i nie odczuwał nic; czasem budził się, kiedy wszyscy wokół niego — i bracia i siostry — spali, chrapiąc głośno. Wtedy w strachu i obawie odsłaniał twarz, którą zawsze zakrywał przed snem, bo nie lubił spać z odkrytą twarzą. Był pewien, że kiedy w nocy odkryje twarz, albo wysunie rękę czy nogę spod przykrycia, wówczas napewno stanie się ofiarą *ifrita* (złego ducha), jednego spośród licznych *ifritów*, które zamieszkują wszystkie domy, wypełniają ich kąty i zakamarki, a które schodzą pod ziemię, gdy zaświeci słońce i gdy ludzie zaczynają wstawać. A kiedy słońce skryje się do swojej grotty, a ludzie do swoich legowisk, kiedy pogasną lampy i ucichną głosy, wychodzą te *ifrity* spod ziemi i napęlniają podwórze ruchem i zamieszaniem, szuraniem i krzykiem.

Często się budził i słyszał pianie kogutów i pogdakiwanie kur; wówczas starał się rozróżnić ich różne głosy. Niektóre były rzeczywiście głosami kogutów, inne *ifritów*, które przybrały postać kogutów i naśladowały je dla igraszki i podstępny diabelski. Ale nie zwracał uwagi na te głosy i nie obawiał się ich, ponieważ dochodziły do niego z oddali. Obawiał się natomiast innych głosów, które rozróżniał z trudnością i wysiłkiem. Wydobywały się one z kątów izby ciche i słabe, jedne podobne do syku wielkiego kotła gotującego się na ogniu, inne do przesuwania z miejsca na miejsce lekkiego mebla, a jeszcze inne do suchego trzasku łamanego drzewa albo łamiącej się gałęzi.

A najbardziej obawiał się postaci, które — jak sobie wyobrażał — stawały w drzwiach i tarasowały je całkowicie; zaczynały one ożywiać się, wykonywały różne ruchy, podobne nieco do ruchów *sufich*² podczas *zikr*³. I był przekonany, że nie ma dla niego innego ratunku przed tymi strasznymi zjawami i przykrymi dźwiękami, jak tylko owinięcie się w koc od stóp do głowy, ażeby nie dochodziło

² S ū f i — mityk muzułmański.

³ D i k r (wym. *zikr*) — inwokacja wspólna w kołach mistyków, polegająca na ciągłym wzywaniu imienia Allaha.

powietrze i żeby nie było żadnej szparki. Był pewien, że jeśli pozostawi najmniejszą szparkę, to wsunie się przez nią ręka *ifrita* i dotknie go.

Dlatego spędzał noc w strachu, za wyjątkiem tych chwil kiedy zmorzył go sen; ale sen zwyciężał go tylko na krótko. Budził się o brzasku i długą część nocy spędzał w strachu i obawie przed *ifritami*, aż do chwili kiedy dobiegły jego uszu głosy kobiet, powracających od kanału z pełnymi dzbanami i śpiewających „Allah! O nocy Allaha...!” Wiedział wówczas, że nadszedł świt i że *ifrity* zniknęły pod ziemią. Teraz on się zmieniał w *ifrita*, zaczynał mówić do siebie głośno, śpiewać to, co zapamiętał z recytacji poety, dotykał swoich braci i siostry i budził ich. I wtedy zaczynał się ruch: krzyk i śpiew, wrzawa i ryk, harmider, któremu nie było końca. Kres temu dopiero kładł szejch, gdy wstawał i żądał, by mu podano imbryk z wodą dla dokonania ablucji przed modlitwą. Cichły głosy i ustawał ruch. Szejch dokonywał ablucji, modlił się, czytał odpowiedni rozdział *Koranu*, wypijał kawę i szedł do swojej pracy. Gdy zamykał drzwi za sobą, podnosiła się z pościeli cała gromadka, rozbiegała się z krzykiem po domu, bawiła się, w końcu mieszała się z innymi mieszkańcami domu ptactwem i bydłem.

NAUKA KORANU

Od tego dnia nasz młodzian, aczkolwiek jeszcze nie przekroczył dziewięciu lat, został szejchem⁴ — ponieważ znał *Koran* na pamięć. Ten kto znał *Koran* na pamięć, stawał się szejchem bez względu na wiek. Ojciec i matka nazywali go szejchem i nauczyciel też zwykł był nazywać go szejchem wobec rodziców, albo też w chwilach kiedy był z niego zadowolony, lub kiedy chciał go nastroić przychylnie do jakiejś sprawy. Ale poza tym, nazywał go po imieniu, a niekiedy mówił *wad*⁵. Młodociany szejch był blady, o małej wychudzonej postaci. Nie posiadał powagi szejchów, ani piękna i świeżości ich twarzy. Rodzice zadawali się wysławianiem go, schlebianiem mu tytułem, który dodawano do jego imienia z satysfakcją, raczej przez dumę niż uprzejmość lub czułość. Jeśli chodzi o niego, z początku ten tytuł podobał mu się, ale spodziewał się czego innego, innej nagrody i zachęty. Spodziewał się, że stanie się szejchem prawdziwym, włoży turban, *dżubbę kaftan*⁶. Trudno było wytłumaczyć mu, że jest za młody, aby nosić turban i *kaftan*... Czyż mógł być zadowolony tylko z tego, że jest szejchem, który zna na pamięć *Koran*? Chociaż mały, jest jednak szejchem! Jak to jest możliwe, żeby ten, który umie na pamięć *Koran* był małym! Jest

⁴ Szejch — dosłownie „starzec”, zaszczytny przydomek nadawany w świecie islamu dla wyrażenia szacunku temu (który zna *Koran*), kto ukończy studia w al-Azharze itp., a więc nadawany również ludziom młodym, jak to zobaczymy dalej w tekście.

⁵ Al-wad (widocznie od *al-walaad* „dziecko”), używa się w znaczeniu pejoratywnym: dziecko.

⁶ Dżubba — w egipskiej wymowie *ge b b a* — długie obszerne okrycie wierzchnie, otwarte z przodu, z szerokimi rękawami, narzucone na *kaftan*, również okrycie z długimi rękawami, z przodu otwarte i spięte pasem zwanym *hiram*.

przeto pokrzywdzonym... A czyż jest większa krzywda niż mu wyrządzono odmawiając prawa do turbanu, *dżubby* i *kaftanu*?

Nie upłynęło wiele dni i znudził mu się zaszczytny tytuł szejcha, odczuwał wstętność, gdy go tytułowano. Stwierdził, że życie jest pełne niesprawiedliwości, kłamstwa, że człowiek doznaje krzywdy nawet od rodzonych ojca, że miłość ojca i matki nie jest pozbawiona kłamstwa, złośliwości i oszustwa. Ta jego świadomość rychło zmieniła się w pogardę dla zaszczytnego tytułu szejcha i poczucie, że napelniał duszę rodziców zwodniczą dumą. Potem zapomniał o tym wszystkim wśród wielu innych spraw.

Trzeba przyznać, że w istocie nie było to odpowiednie, by go nazywano szejchem. Słuszne natomiast było, aby mimo to, że znał *Koran* na pamięć, chodził do szkoły jak dawniej, w lichym ubraniu z *takijją*⁷ na głowie, czyszczoną raz na tydzień, mając na nogach sandały odnawiane raz na rok, noszone dopóty, póki były możliwe do noszenia. Kiedy je zniszczył, chodził przez tydzień lub dwa bosy, aż Bóg mu pozwolił otrzymać nowe obuwie. Zasługiwał na to wszystko, albowiem jego znajomość *Koranu* nie trwała długo... Czy zasługiwał na naganę? Czy też nagana winna być podzielona między niego i nauczyciela? Prawdą jest, że „pan” go zaniedbał przez pewien czas i zajął się innymi uczniami, którzy jeszcze nie skończyli *Koranu*. Zaniedbał go, by odpocząć, a również dlatego że nie otrzymał zapłaty za zakończenie nauki *Koranu*. A nasz przyjaciel wypoczął wskutek tego zaniedbania, uczęszczał do szkoły, aby spędzać tam długie dni w absolutnej beczynności i w ciągłej zabawie. Oczekiwał w ten sposób końca roku i przyjazdu swego brata studenta al-Azharu z Kairu. A gdy skończą się wakacje i brat powróci do Kairu, on będzie mu towarzyszył, aby stać się szejchem prawdziwym i studentem al-Azharu.

W ten sposób minął miesiąc jeden, drugi, trzeci. Chłopiec chodził do szkoły i powracał z niej, nic nie robiąc, lecz pewny, że zna *Koran* na pamięć. A nauczyciel też był spokojny, że on pamięta *Koran*, aż wreszcie nadszedł fatalny dzień... Był to dzień naprawdę nieszczęsny, w którym zakosztował malec po raz pierwszy goryczy upokorzenia i poniżenia, i który obrzydził mu życie. Powrócił ze szkoły po południu tego dnia spokojny i zadowolony. Ledwie wszedł do domu, gdy ojciec zawołał go tytułując szejchem. Podszedł do ojca, który był w towarzystwie dwóch swoich przyjaciół. Ojciec był w humorze, posadził go tróskliwie. Zadał mu szereg pytań, a następnie poprosił, aby wyrecytował *Surę poetów*⁸. Było to jak uderzenie pioruna. Myślał, zastanawiał się, usiłował sobie przypomnieć, niespokojnie się kręcił i powtarzał: „Szukam ucieczki u Boga przed szatanem przeklętym”. Wzywał Boga Litościwego i Miłosiernego, lecz przypomniał sobie z *Sury poetów* jedynie to, że jest ona jedną z trzech, które się zaczynają od liter *ta, sin, mim*⁹. I zaczął powtarzać *ta, sin, mim*, raz i drugi i trzeci, ale nie

⁷ *Takijja* — białe nakrycie głowy z bawelny, noszone pod tarbuszem (fezem).

⁸ *Sura poetów* — 26 sura *Koranu*.

⁹ Nazwa liter alfabetu arabskiego: *t, s, m*.

mógł dojść do tego, co po nich następuje. Ojciec przypomniał mu co następuje po wstępie, lecz on nie był w stanie posunąć się dalej ani o krok. „Wobec tego zarecytuje *Surę mrówki*”¹⁰ powiedział ojciec. Przypomniał sobie, że początek *surę mrówki* jest taki jak początek *Sury poetów ta, sin, mim* i zaczął powtarzać te litery. Ojciec znowu podpowiedział, ale nie mógł zrobić ani kroku dalej... „Więc recytuj *Surę opowiadań*”¹¹ powiedział ojciec. Pamiętał, że jest to trzecia *sura* zaczynająca się od tych samych liter i zaczął powtarzać *ta, sin, mim*. Tym razem ojciec nie podpowiedział, lecz rzekł spokojnie: „Idź sobie, sądziłem, że znasz *Koran* na pamięć”. Wstał zawstydzony i zlany potem. A dwaj mężczyźni zaczęli go usprawiedliwiać zażenowaniem i młodym wiekiem. Odszedł, nie wiedząc, czy ma ganić siebie, że zapomniał *Koran*, czy ma ganić „pana” za to, że go zaniedbał, czy wreszcie ganić ojca, że go egzaminował.

Cokolwiek by myśleć o tym, wieczór tego dnia był dla niego najgorszym wieczorem, jaki spędził kiedykolwiek. Nie zjawił się przy stole objadowym. Ojciec nie zapytał o niego. Matka wezwała go bojaźliwie, aby z nią zjadł kolację, lecz odmówił. Więc odeszła, a on usnął.

Ale naprawdę ten wieczór przeklęty był lepszy od ranka dnia następnego, kiedy poszedł do szkoły. Oto nauczyciel wezwał go surowym tonem. „Co się wczoraj zdarzyło? Jak to się stało, że nie byłeś w stanie wyrecytować *Sury poetów*? Czyż naprawdę ją zapomniałeś? Wyrecytuj mi ją!” I chłopiec zaczął stękać *ta, sin, mim*. I znowu zdarzyło mu się z „panem” to samo co z ojcem. Rzekł „pan”: „Bóg zaiste wynagrodził mi czas, który straciłem z tobą i te siły, które oddałem dla uczenia ciebie. A ty zapomniałeś *Koran* i trzeba koniecznie go powtórzyć. Lecz zaprawdę nie moja wina, ani twoja, ale ojca twojego. Bo gdyby on dał mi wynagrodzenie w dniu kiedy skończyłeś *Koran*, to Bóg by go pobłogosławił i ty byś zapamiętał, ale on odmówił mi mojego prawa i Bóg wymazał *Koran* z twojej duszy”.

AL-AZHAR¹²

Pewnego dnia na początku roku szkolnego grupa studentów zapaliła się bardzo do wykładu o literaturze, który odbywał się przed południem w portyku Abbasa — prowadził go szejch al-Marsafi czytając zbiór poezji *al-Ha-*

¹⁰ Sura 27.

¹¹ Sura 28.

¹² Al-Azhar — słynny w świecie muzułmańskim meczet i zarazem uczelnia w Kairze, założony w X w. przez Dżauhara, dowódcę wojsk Fatymidów. Jest to najwyższa instytucja naukowa religijna islamu. Ściągają do niej jeszcze do dziś dnia studenci ze wszystkich krajów muzułmańskich, od Maroka do Pakistanu i dalekiej Indonezji, dla dopełnienia swojej wiedzy z dziedziny teologii, prawa muzułmańskiego, języka arabskiego i in. Profesorowie tej uczelni, noszący tytuł szejchów, prowadzą swoje lekcje — wykłady jeszcze na sposób średniowieczny. Zasiadają pod filarami, czytają i komentują dzieła klasyczne, a zebrani wokół nich uczniowie, siedzący po turecku, słuchają i dyskutują z nimi. Studia wyższe w al-Azharze są zorganizowane już na wzór uniwersytetów świeckich

*masa*¹³. Rozentuzjasmowana młodzież natychmiast po wykładzie udała się na poszukiwanie tego zbiorku. Wszyscy postanowili pilnie uczęszczać na wykład, solidnie pracować i nauczyć się *Hamasy* na pamięć. Brat chłopca, jak zwykle, pośpiesznie zakupił komentarz al-Tabriziego do zbioru *Hamasy*, kazał go pięknie oprawić i wstawił go do swojej szafy, lecz zaglądał do niego rzadko. Zaczął się uczyć tych wierszy na pamięć, zachęcając również do tego chłopca. Czytał mu niekiedy jakiś urywek komentarza al-Tabriziego, lecz czytał go podobnie jak książki traktujące o prawie i teologii.

Chłopiec odczuwał, że książki tej nie można studiować i interpretować w ten sposób. Młody szejch i jego koledzy widzieli w zbiorku *Hamasy* tekst podstawowy, którego komentarz zredagował al-Tabrizi; żalowali jednak, że nikt nie napisał not marginalnych do tego komentarza. Młodzi często powtarzali słowa szejcha al-Marsafi, który się z nich naśmiewał i wyszydzał ich mistrzów i podręczniki al-Azharu.

Opowiadali to wszystko ze śmiechem, a jednocześnie nieco zdziwieni stanowiskiem profesora nadal uczęszczali na wykłady w al-Azhar, nie opuszczając żadnego z nich.

Rozmowom tym przysłuchiwał się nasz przyjaciel i one wywołały u niego żywe zainteresowanie i chęć uczestniczenia w tym wykładzie. Lecz koledzy jego zrezygnowali wkrótce i z tego i z innych wykładów z dziedziny literatury, ponieważ uważali je za mało poważne. Nie należały one bowiem do wykładów zasadniczych w programie al-Azharu, lecz wykładów fakultatywnych, które wprowadził imam Abduh, a których całość nosiła nazwę „nauki nowoczesne” i obejmowała geografii, matematykę i literaturę. Uważali również, że szejch al-Marsafi podkpiwał sobie z nich, że tracili dużo czasu na tego rodzaju zabawę i żarty.

Profesor z kolei miał złe mniemanie o studentach, uważając, że nie są na leżycie przygotowani do tego wykładu, który wymagał wyrobionego smaku. Studenci natomiast mieli podobną opinię o swym profesorze, uważając że nie dorósł do pełnienia powierzonego stanowiska i nie opanował dobrze danej gałęzi wiedzy. Uważali, że zdolny jest tylko do recytowania wierszy, wypowiedania sloganów, mówienia dowcipów, które nie kryły w sobie żadnej głębszej treści.

Ale mimo wszystko uczęszczali na ten wykład, ponieważ otaczał go swą opieką imam Abduh zaprzyjaźniony z szejchem, wykładającym literaturę i wykorzystującym każdą okazję aby pisać hymny pochwalne na cześć imama, a następnie dyktować je swoim studentom. Niektórym zalecał, aby uczyli się tych hymnów na pamięć, uważając je za wspaniałe, z czym zgadzali się studenci, ponieważ były ułożone na cześć imama Abduha.

¹³ „Dzielność, męstwo” — zbiór poezji opracowany przez Abū Tamāmā, zm. około 845 r. Jest to antologia poezji uporządkowana według pewnych typów. Początek stanowią poezje wojenne, stąd nazwa *al-Hamāsa, Dzielność*. Znany jest komentarz do tego zbioru filologa al-Tabrizi z XI wieku z Bagdadu, ucznia al-Maraziego.

Z tego powodu robili wszystko co mogli, aby pilnie przykładać się do tego wykładu, w końcu jednak zabrakło im cierpliwości i zamiast na wykład szli rano na szklanę herbaty i popijali ją spokojnie. Z chwilą gdy chłopiec nauczył się już znacznej części wierszy *Hamāsy* nie słyszał więcej rozmów o literaturze. Pewnego dnia rozeszła się pogłoska, że szejch al-Marsafī poświęci dwa dni w tygodniu na czytanie traktatu gramatycznego *az-Z a m a c h s z a r i e g o, al-Mufaṣṣal*. Przyjaciel nasz pospieszył na ten wykład i po dwukrotnym jego wysłuchaniu tak się zapalił, iż postanowił uczęszczać zarówno tego dnia, jak i w inne dni tygodnia na wykłady z literatury. Od tego czasu przylgnął całym sercem do swego profesora.

Dzięki bardzo dobrej pamięci chłopiec chwycił prawie każde słowo profesora, jak również jego poglądy i wyjaśnienia. Bardzo często, kiedy szejch cytował wiersz, w którym znajdowało się słowo już komentowane, albo też kiedy nawiązywał do opowiadania z poprzedniego wykładu, nasz przyjaciel powtarzał wyjaśnienia, poglądy i myśli profesora oraz jego krytyczne uwagi, odnoszące się zarówno do *Hamāsy* i jej komentarza, jak i poprzednich wersji *Abū T a m m ā m a*, względnie pojedynczych wierszy, które cytował *Abū Tammām*.

Szejch pokochał chłopca i zajął się nim serdecznie; w czasie wykładu wszczywał z nim dyskusje, po wykładzie wzywał go do siebie, odprowadzał go aż do bramy, niekiedy zaś prosił o towarzyszenie mu przez część drogi. Pewnego dnia chłopiec po raz pierwszy znalazł się z profesorem w kawiarni. Siedzieli tam aż do chwili, gdy muezzīn wezwał wiernych na modlitwę południową. Chłopak powrócił do domu uszczęśliwiony, rozweselony, pełen nadziei i energii.

Szejch w gronie swych uczniów mówił tylko o al-Azharze, jego profesorach i o złych metodach nauczania na uczelni. Był bardzo surowy, szczególnie gdy poruszał sprawy literatury. Jego krytyka była bolesna, a ocena kolegów profesorów szydercza i naprawdę surowa. Był bardzo uprzejmy wobec studentów, a specjalnie pokochał naszego chłopca i wywarł na niego bardzo głęboki i zbawienny wpływ.

Młodzieniec przekładał ten wykład nad inne. Znalazł dwóch kolegów, którzy obdarzali również tego szejcha głębszym uczuciem i mieli czas na uczęszczanie na wykłady. Spotykał się z nimi przed południem i razem szli na wykład szejcha, potem do Biblioteki Narodowej, gdzie studiowali dawną literaturę; powracali do Al-Azharu popołudniu i siadali w przejściu między administracją a portykiem Abbasa, rozmawiając o swoim ukochanym profesorze i o tym, co przeczytali w bibliotece, podżartowując przy okazji z przechodzących szejchów oraz studentów. Po modlitwie o zachodzie słońca, wchodzili do portyku Abbasa, aby wysłuchać wykładu szejcha Bachīta, który po śmierci imāma Abduha czytał z nimi egzegezę *Koranu*.

Lecz nasi trzej chłopcy nie słuchali tak uważnie wykładu, jak pozostali studenci. Przysłuchiwali się słowom szejcha jedynie po to, aby się pośmiać

z niego i wylapać błędy, których popełniał mnóstwo, zwłaszcza kiedy poruszał zagadnienia leksykografii i literatury. Po wykładzie ostro krytykowali te błędy, a następnego dnia opowiadali o nich swojemu mistrzowi al-Marsafi, dostarczając mu w ten sposób nowego materiału do lekceważenia swoich kolegów profesorów.

Ci młodzi chłopcy dusili się w al-Azharze, a szejch Bachit i jego wykład jeszcze bardziej wzmagal tę duszną atmosferę nakładając na nich więzy i pęta, podczas gdy dusze ich były spragnione wolności.

Nie wiem czy jest coś, co by mogło bardziej rozpalic w duszach, zwłaszcza młodych, umiłowanie wolności niż literatura, tymbardziej dyskusje, jakie prowadził szejch al-Marsafi ze swoimi studentami, kiedy im komentował *Ḥamāse* albo dzieło *al-Kāmil*¹⁴ (al-Mubarrada). Była to krytyka poety, potem rapsoda, a w końcu komentarze prac różnych leksykografów. Potem następował wykład dobrego smaku: z jakąż zręcznością umiał on ukazać piękno w poezji i prozie rozpatrując najpierw ogólnie sens utworu, potem szczegóły, aby wreszcie przejść do przeglądu prozodii, rymu i szyku słów w zdaniu. Co za wspaniała lekcja, polegająca na nieustannym porównywaniu tego co panowało w al-Azharze, a delikatną wykwintnością w przeszłości, między zubożeniem życia duchowego na uniwersytecie, a błyskotliwością inteligencji w starożytności arabskiej! Naturalnie budziło to w rezultacie pragnienie zerwania tych kajdan i w ogóle buntu przeciw szejchom, do atakowania ich wiedzy, złego gustu, ich życia prywatnego i rozmów. Należy stwierdzić, że chociaż najczęściej było to zgodne z prawdą, czasami jednak przesadzano i oddalano się od prawdy.

Z tego to powodu z licznego grona studentów grupujących się początkowo wokół szejcha niewielu przy nim wytrwało. Spośród tych, co pozostali wybrał on trzech, była to więc malutka grupa, która jednak wkrótce narobiła sporo wrzawy zarówno w al-Azharze, jak i poza murami uczelni i stała się przedmiotem dyskusji studentów i profesorów. Mówiono mianowicie, że krytykują al-Azhar i buntują się przeciw jego tradycjom, że układają satyry na szejchów i kolegów. Zrozumiała jest rzeczą, że ta maleńka grupa została zniechęcona przez al-azharystów w takim samym stopniu, w jakim się jej bano.

Marsafi był nie tylko profesorem, lecz również literatem; to znaczy, że podczas wykładów w al-Azharze lub w rozmowach oficjalnych zachowywał powagę profesorską, lecz w gronie bliskich sobie i przyjaciół przybierał niezależną postawę literata. Wyrażał się z całą swobodą o każdym człowieku i na każdy temat. Recytował swym przyjaciołom wiersze lub urywki prozy wyjęte z dawnej literatury, podawał dane biograficzne, które wskazywały na to, że dawni pisarze byli niezależni tak jak on, że wyrażali otwarcie swą opinię o ludziach i rzeczach, bez afektacji, lecz również bez rezerwy.

¹⁴ Znany filolog arabski urodzony w Basrze (826—868) — nauczał w Bagdadzie za Abbasydów. Al-Mubarrad, autor znanego dzieła *al-Kāmil* (*Doskonały*) jest to zbiór tradycji, przysłów, poematów, anegdot, z obszernym komentarzem filologicznym.

Cóż bardziej prostego i naturalnego jak to, że studenci poszli drogą wytyczoną przez profesora, tymbardziej, że kochali go i szanowali. Widzieli w nim szczyt wytrwałości w przeciwstawianiu się zmiennym kolejom losu i zadawalaniu się małym i szczyt szlachetności, co przejawiało się w unikaniu czynów sprzecznych z godnością uczonych, jednym słowem w odsuwaniu się od najpospolitszych wad, jak intryganctwo, obmowa, dwulicowość, lizusostwo wobec przełożonych oraz wad, w których pogrążeni byli profesorowie Al-Azharu.

Studenci mogli obserwować postępowanie swego profesora, przekonać się o wszystkim naocznie, gdyż byli z nim zżyci, odwiedzali go w jego mieszkaniu, które mieściło się w bardzo starym rozwalającym się domu, przy brudnej uliczce Rakraki w dzielnicy Bāb al-Baḥr. Dom szejcha znajdował się na końcu tej uliczki. Z drzwi wejściowych wchodziło się do wąskiego i wilgotnego korytarza, gdzie panowały najbardziej smrodliwe zapachy. W korytarzu stała wąska ławka drewniana oparta o ścianę, z której opadał tynk.

Szejjch przyjmował swoich studentów na tej niewygodnej ławce spokojny i zadowolony; słuchał ich z uśmiechem i rozmawiał z nimi bardzo uprzejmie tonem łagodnym, szczerym i pozbawionym całkowicie przymusu. Czasami, kiedy przychodzili w odwiedziny a był bardzo zajęty, zapraszał do swego pokoju. Wchodziło się tam spróchniałymi schodami, przechodziło się przez całkowicie pustą sien pozbawioną dachu, rozjaśnioną światłem słonecznym. Zastawali go na podłodze pochylonego nad pracą, obłożonego dziesiątkami ksiąg, do których zaglądał, aby skompletować jakiś fragment, zidentyfikować wiersz, który chciał wytłumaczyć, wyszukać słowa, które chciał sprawdzić lub tradycję, co do której nie miał jeszcze jasnej opinii. Po jego prawej ręce stały przybory do kawy. Kiedy wchodził nie wstawał, lecz przyjmował ich wesółym powitaniem zapraszając, aby usiedli gdzie się da. Jednego z nich prosił o przyrządzenie i podanie kawy. Rozmawiał z nimi parę chwil, potem prosił o pomoc w poszukiwaniu materiału lub sprawdzaniu.

Młodzieniec nie zapomni wizyty, jaką złożył pewnego dnia szejchowi Marsafiemu w czasie popołudniowej modlitwy, w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół. Wdrapali się po schodach i zastali go siedzącego obok jakiejś staruszki na niskim łóżku zainstalowanym w sieni. Kobieta była tak pochylona, że głowa jej prawie dotykała ziemi. Szejjch karmił ją. Kiedy zobaczył swoich uczniów przyjął ich uprzejmie i prosił, by poczekali nieco w pokoju. Po paru minutach przyszedł bardzo zadowolony i uśmiechnięty mówiąc: „Nakarmiłem moją matkę”.

Gdy szedł ulicami miasta, wydawał się być wzorem czcigodności, uprzejmości, spokoju sumienia i czystości myśli.

Prowadząc życie spokojne i zrównoważone sprawiał wrażenie zamożnego i ci, z którymi się stykał odnosili wrażenie, że niczego mu nie brak. Lecz jego uczniowie i przyjaciele wiedzieli bardzo dobrze, że dysponował skromnymi funduszami, i że był bardzo biedny. Zdarzało się, że całymi dniami a naw

tygodniami jadał tylko porcję chleba posypanego solą. Pozwoliło mu to wykształcić jednego ze swych synów, pomagać drugiemu w studiach w al-Azharze i rozpieszczać bardzo jedną ze swych córek. Całą swą skromną pensję wynoszącą trzy i pół funta miesięcznie wydawał w sposób przemyślany. Otrzymał stopień bardzo dobry i w wyniku uznania osiągnięć, otrzymywał półtora funta; zaś za wykłady literatury, które mu zlecił imam Abduh — dwa funty. Krępowało go początkowo pobieranie miesięcznych poborów, ze wstrętem mieszał się z tłumem ulemów, rzucających się na urzędnika przy wypłacie; pieczęć swą powierzał jednemu z uczniów, który podejmował rano jego pobory i oddawał muje popołudniu.

Tak wyglądało życie szejcha widziane oczami jego uczniów, życie dość twarde, lecz wolne i pełne godności. Widzieli i słyszeli wiele o innych szejchach i to wystarczyło, aby napęłnić ich serca wściekłością, a dusze złością i pogardą. Nic więc dziwnego, że urzekł ich ten profesor, że zapragnęli naśladować go w swym życiu, w sposobie bycia, w jego pogardzie dla szejchów al-Azharu i buncie przeciw ich zmechanizowanemu postępowaniu.

Z arabskiego przełożył
Józef Bielawski



SAİT FAJK ABASIYANIK

FIOŁKOWA DOLINA

Przyjaciel mój rozmyślał oparłszy głowę na dużych dłoniach. Przed nim stała nawpół opróżniona, półlitrowa butelka wina; sałatka z fasoli i jedna jedyna skumbria zdawały się być czymś zgoła niejadalnym. Te nędzne resztki tkwiły żałośnie na talerzu podobne żywym istotom, które boją się nad tym, że ktoś, kto oddawna głodował i pragnął je spożyć, po jednym kęsie nie mógł już zjeść



więcej, gdyż gwałtowny ból przeszył mu wnętrzności. Niedojedzone resztki, walające się w podłych knajpach na talerzach gości, wyrazem swym przywodzą mi na myśl beznadziejnie smutne twarze mężczyzn lub kobiet; mężczyzn, którzy nigdy nie kochali i kobiet, które nigdy nie były kochane.

Przyjaciel mój nazywał się Bayram. Rosły, kościsty, mówił z albańskim akcentem. Swego czasu handlował suchymi migdałami, którym — przy pomocy kwasu azotowego i popiołu — nadawał wygląd świeżych. Potem sprzedawał losy na loterie, potem był woźnicą. A potem... potem był — rzecz można — bogatym, zarabiał 30 do 40 lir dziennie. Poznałem go właśnie wtedy. Nie po-

rzucił był dawnych obyczajów: ubierał się nadal jak apasz i był w dobrej komitywie z najpiękniejszymi dziewczętami z podrzędnych winiarni. Wśród „dam”, z którymi przebywał poznał niejaką Seher. I rzeczywiście Seher była jak jutrzienka¹. Została jego kochanką.

Nieraz widywałem na wozie wysoką sylwetkę Bayrama.

— Hej, be more! — wołał — w dzień pracuję, a bawię się w nocy!

Uderzał konie batem, a te jak błyskawica mknęły przez wąskie uliczki.

Odkąd Bayram żył z Seher, często wszczynał bójkę z jej powodu. I noże bywały w ruchu... Jakiś czas udawało mu się uniknąć więzienia, wreszcie wpadł w ręce policji. Siedział dobrych kilka miesięcy. Tymczasem życie szło naprzód. Seher poznała sympatycznego młodzieńca w pięknym mundurze i zakochała się w nim. Nie zaglądała więcej do winiarni w Asmalmeşcit.

Po tym co się stało, Bayram już nie pracował. Łopatki wylażyły mu z grzbietu jak hołoble, wolne od pasów chomąta. Pił od rana.

Szukał Seher. Wreszcie ją przydybał. Zza pasa wyciągnął nóż i uderzył nim dziewczynę w bok. Lecz Seher nie umarła. Nie powiedziała nikomu o tym, kto ją zranił.

Po wyjściu ze szpitala Seher przyszła do winiarni. Nie chciała jednak rozmawiać z Bayramem. To go boleło najwięcej. Mężny postępek dziewczyny krępował go tak, jak pęta krępują rumaka. Pogodzili się wreszcie. Klacze i wóz Bayrama sprzedała, pieniądze przejadła Seher. Bayram pracował na cudzym wozie za 10 lirów dziennie, a Seher robiła wszystko, by pchnąć go do nowel zbrodni. Zadawała się z tymi, którzy go drażnili. Bayram nie mógł już nawet powozić. Wrócił do sprzedaży migdałów.

Wieczorami cały swój zarobek przepijał w winiarni. Gdy go spotkałem, jego zgasła twarz przypominała europejskie miasta, zaciemnione w czasie wojny. Z przezroczyściej, białej, nerwowej i kościstej twarzy znikł blask gorejących oczu. Męczył go suchy kaszel. Tylko gdy pił zapalały się w jego oczach gniewne błyski, które mogły być płonąć jedynie w ów dzień, gdy szedł zamordować Seher. Tego wieczoru, widząc jak jest wzburzony zawałęm:

— Bayram! Co się z Tobą dzieje? Nie rób głupstw!

— Usiądź — powiedział — Barba — zwrócił się do kelnera — przynieś no jeszcze butelkę!

Pojawiło się białe czawuskie. Mieliśmy już dobrze w czubach, gdy nagle Bayram jakoś dziwnie spojrział mi w oczy. Wydawało mi się, że chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nie okazałem jednak żadnego zainteresowania. Nagle usłyszałem:

— Kocham ciebie jak brata. I ty mnie kochasz, prawda?

— Czy wątpisz w to? — odparłem.

— Jeśli tak — powiedział — to czy zaprowadzisz mnie do domu?

¹ Seher, imię które znaczy również jutrzienka, świt.

— Jeśli będziesz pijany, oczywiście — zapewniłem.

— Ależ nie, nie do pokoju, w którym mieszkam — zaczął wyjaśniać — lecz do domu. Do mego prawdziwego domu. Nie byłem tam siedem lat.

— Siedem lat? — spytałem zdumiony.

Uśmiechnął się.

— Pewnego ranka przed siedmiu laty wyszedłem z domu. Skończyłem właśnie dwadzieścia jeden lat. Mimo, że był jeszcze luty, w naszej dolinie było ciepło jak na wiosnę. Na rynku sprzedawałem kwiaty. Dostałem 19 lir. Nigdy przedtem nie piłem — wypilem. Od trzech lat byłem żonaty, lecz nie wahałem nawet umalowanej i pachnącej kobiety — wówczas powąchałem. Nie wróciłem już do domu, do swoich. Nie wiem, żyją, czy pomarli? Nigdy nie spotkałem nikogo. Miałem starego ojca, miałem matkę, żonę, dwoje dzieci. Jedno półtora roczku, drugie — dziewięć miesięcy. Jak wiesz, sprzedawałem migdały, a potem... zresztą pamiętasz...

Krzyknął na kelnera:

— Barba! Butelkę czerwonego wina! Tylko podwójne!

— Bayram! I tak wypileś za dużo.

Spytałem starego kelnera, która to już butelka.

— A bo ja wiem! — odrzekł — Zglupiałem do reszty! Siódma, jeśli się nie mylę...

Bayram zaczął prosić.

— Przynieś, nie będę więcej pić.

Lecz wypił znowu. Potem ja postawiłem butelkę. Kiedy wyszliśmy na ulicę, ledwie trzymaliśmy się na nogach. Zajrzeliśmy jeszcze do Asmalimeşcit. Spytaliśmy o Seher. Kelner Bakir powiedział, że pewnie poszła na Tepe²). Wsiadliśmy do samochodu. Bayram powtarzał bez przerwy:

— Już ja jej pokażę Tepe! Zarżnę, zamorduję....

Na szczęście dziewczyny i tam nie było. Dalej szliśmy już pieszo. Dął zimny, wilgotny wiatr. Po niebie płynęły postrzępione, lodowate chmury. Od czasu do czasu zza chmur wyglądał księżyc, jak zwykle nieufny i podejrzliwy. W pewnej chwili wiatr, który dął nam w piersi zmienił kierunek, zaczął nas pchać przed sobą.

Nagle zatrzymaliśmy się w miejscu bezwietrznym. Przed nami rysowały się w ciemnościach kontury jakiejś dużej willi. Tuż za parkanem weszliśmy w zagon kapusty. Po rozmięklej ziemi schodziłem za Bayramem w ciemność. Wiatr był coraz słabszy. Po pewnym czasie zrobiło się zupełnie ciepło. Usłyszałem szmer wody. Przed nami w kilku domach paliły się światła. Szczekały psy. Zapukaliśmy do jakiś drzwi... Na schodach rozległ się dziewczęcy głosik.

— Mamó! Ktoś puka.

— Otwórz! Na co czekasz? To pewnie dziadek wraca z kawiarni.

² Dzielnica w Stambule.

- Boję się!
- Czego dziewczyno?
- Pod drzwiami stoi dwóch mężczyzn.
- Głupia! Któż, jak nie dziadek ze stryjem Hasanem!
-

Drzwi otwarły się. Dziewczynka z lniyanymi włosami i bardzo niebieskimi oczami patrzyła głupkowato w twarz Bayrama. Potem niebieskie, błyszczące oczy bystro spojrzwały na mnie. Zatrzasnęła nam drzwi przed nosem, krzyząc:

— Mamo — złodzieje! Jak Boga kocham, złodzieje, złodzieje!

Przed nami stała kobieta trzymając w ustach jeden różek zasłony. W jej czarnych, rozwartych oczach malowała się nieme zdumienie. Przyglądała się nam przez czas dłuższy, potem wypuściła z ust koniec zasłony, cofnęła się i rzekła:

— Wejdźcie, proszę.

Weszliśmy do sieni. Przed nami były schody. Po kilkunastu stopniach znaleźliśmy się przed drzwiami pokoju. Weszliśmy. Pośrodku stał żelazny piecyk. Izbę wypełniał specyficzny zapach dziecka, pomieszany z aromatem kwiatu lipowego. Usiedliśmy na kanapie. Kobieta wniosła zwykły, drewniany stół. Postawiła miedzianą tacę, polyskującą czerwono, a na niej marynaty, ser, konfitury i sześć jaj na twardo. Zjedliśmy wszystko w milczeniu. Gdyśmy tak jedli otworzyły się drzwi, mały chłopczyk zajrzał i uciekł. Usługiwała nam ta sama mała dziewczynka. Po skończonym posiłku weszła młoda kobieta. Teraz zasłoniła sobie także i czoło, a włosy jej były mocno spięte na karku. Milcząc sprzątnęła ze stołu. Potem otworzyła szafę, przygotowała dla nas dwa posłania i wyszła. Nieco później podano nam kawę. Ciągłe milcząc udaliśmy się na spoczynek. Wyglądaliśmy jak obrażeni, jak byśmy nie mogli patrzeć sobie w oczy.

Gdy obudziłem się nad ranem, Bayram siedział już przy oknie i palił papierosa. Przysiadłem się doń na kanapę. Spojrzałem w szybę. Z porannej mgły wyłaniał się ogród. W końcu ogrodu były inspekty, pokryte szkłem i matami. Otwarłem okno. Poczulem zapach fiołków. Było ciepło. Mgła powoli rzedła i przed oczami otwierała się coraz szersza perspektywa ogrodu. Na zagonach kwiaty, kapusta, pietruszka, sałata. Dalej znowu ogrody, znowu krzywe chaty otoczone kwiatami. Wszędzie takie same rośliny, taka sama chudoba, takie same krzywe chaty, z rzadka rozsiane w dolinie. I fiołki. Wszędzie dookoła pachniały fiołki. Przez drogę płynął strumyczek, szmerząc leniwie. Czyżbyśmy przechodzili go wczoraj, idąc do tego domu? Nawet nie zamoczyłem nóg.....

Podszedł do nas staruszek.

— Ojczel! — krzyknął Bayram.

Były to pierwsze słowo, które padło od wczorajszego wieczoru.

Starzec zwrócił się do mnie i rzekł:

— Jak się masz, mój synu.

Staruszka przyniosła nam mleko i zapytała starego:

— Pojedziesz na targ? Czy przygotować wóz?

Starzec spojrział na Bayrama.

— Ja pojedę na targ, matko! — powiedział Bayram.

Staruszka otarła rękawem łzę, która zabłysła nagle na pomarszczonym policzku i już, już miała się stoczyć. A zdawałoby się, że ten powrót nikogo tu nie cieszy...

Załadowano wóz kapustą, porami, czerwoną rzodkiewką, szpinakiem. Wsiadliśmy. Przed odjazdem, mała dziewczynka dała mi duży bukiet fiołków. Przybiegła także, kobieta blada jak *ajwa*, niosąc w ramionach selery. Rzuciła je na wóz i nie podnosząc głowy spojrziała na Bayrama. Ja też popatrzyłem na niego. W tej dolinie wyglądał jak obcy. Kobieta stała i patrzyła na wóz tak długo, aż skrył się za zakrętem. Zanim jednak wóz skręcił, Bayram uniósł się, strzelił z bata ponad grzbietem siwka, potem odwrócił się do wpatrzonej weń kobiety i raz jeszcze strzelił w powietrzu. Skręciliśmy. Dom i biegnąca doń kobieta zniknęły nam z oczu.



Ciągle jeszcze pachniały fiołki. A jakże ostry i przyjemny był zapach selera! Nie wiedziałam, dokąd jedziemy i nie pytałem się o to.

Na bazarze zeskoczyliśmy z wozu. Bayrama odrazu otoczyli handlarze.

— Byłeś w wojsku, czy co? — pytali jedni, — Eh, Bayram, już myśleliśmy, że nie żyjesz! — mówili inni.

— Bayram, ja idę... — rzekłem.

— Odwiedź nas kiedyś — powiedział.

Szedłem długo. Najpierw schodziłem z góry, potem szedłem pod górę i znów schodziłem w dół, aż w końcu dotarłem do Ortaköy.

Co najmniej rok nie miałem okazji zajrzeć do fiołkowej doliny. Wreszcie pewnego dnia postanowiłem ją odszukać i ... nie znalazłem.

Zeszłego roku w zimny dzień lutowy zawędrowałem z kilkoma przyjaciółmi w stronę Macidiyeköy. Przede mną było pole zasadzone kapustą. Rozpościerająca się w dole głęboka kotlina przyciągała wzrok swą niezwykłością. Gdy stąpnąłem na miękką rolę — poznałem gdzie jestem. Zbiegliśmy szybko w dolinę. Jakże tam było ciepło! Dookoła mocno pachniały fiołki.

Schodziliśmy brzegiem strumyka. Opodał pochylona kobieta, zbierała coś, chyba malwę. Obok niej pracował mężczyzna. Wyprostowali się oboje i patrzyli na nas. To był Bayram z żoną. Nie poznał mnie. I ja nie dałem mu żadnego znaku.

I tak przeszliśmy skrajem ogrodu, kierując się prosto na wzórze Arnavutköy. Przez cały czas czuliśmy zapach fiołków. Pod nami, w dolinie pozostał dzień majowy, na górze — jak bicz — czekał na nas luty.

Z tureckiego przełożyła
Lucyna Antonowicz-Bauer



Z POEZJI GRUZIŃSKIEJ

Bogata, posiadająca wielowiekowe tradycje rozwoju, poezja gruzińska znana jest w naszym kraju bardzo słabo. Dotychczasowe próby przekładu gruzińskich utworów poetyckich na język polski (K. Łapczyński i A. Leist w drugiej połowie XIX w., J. Tuwim, A. Kamieńska, M. Buczkówna, B. Gębarski, L. Mariańska i inni w ostatnim dziesięcioleciu) dokonywane były w większości wypadków za pośrednictwem tłumaczeń rosyjskich¹.

Poniżej zamieszczamy przekłady wierszy trzech poetów gruzińskich, reprezentujących najnowszy, ostatni etap w historii gruzińskiej poezji.

J. B.



NIKOŁOZ BARATAŠZWILI (1817—1845)

PEGAZ

Niesie mnie, pędzi w bezdroża stepu mój Meran rączy,
Czarny kruk za mną kracze złowrogo, kracze uroczny.
Pędź mój Meranie! Cwałuj bez końca, pędź szybko nogi!
Czarno skłębioną myśl moją oddaj wiatrom wśród drogi.

¹ Z oryginału przekładali jedynie Łapczyński i Leist.

Wicher rozcinaj, rozłupuj wodę, przebywaj góry, wąwozy, skały.
Pędź, cwałuj pędzej! Niecierpliwemu — dni mi ukracaj, co pozostały.
Latawcze śpiesz się, nocy nie lękaj, nie bój się burzy, upału za dnia.
Nie miej litości nad swoim panem i tak sądzona jemu zagłada.

Cóż, że z ojczyzną się rozłączyłem, z rówieśnikami, z druhem rozłączę,
Niech już nie ujrzę ojca ni matki i ukochanej słodko mówiącej.
Gdzie noc zostanie, tam świt mnie zbudzi, tam dla mnie będzie dom i ojczyzna,
Ja tylko gwiazdom, siostronom mej drogi serce odsłonię i sekret wyznam.

Krzyk serca, resztki miłości rzucę w morze na brzegu
Dla szalonego, czarującego twojego biegu.
Pędź mój Meranie! Cwałuj bez końca, pędź szybko nogi!
Czarno skłębioną myśl moją oddaj wiatrom wśród drogi.

Niechaj w mogile ojczystej ziemi kości swych z kośćmi przodków nie złączę,
Niech mnie nie płacze kochanka miła, niechaj nie spadną łzy żalujące.
Kruk będzie grzebał dla mnie mogiłę wśród łąk nieznanych w polu dalekim
I białe kości piaskiem zasypie wicher litosny z wyciem i jękiem.

Zamiast łez milej na grób samotny rosy upadną z nieba chłodnego
I zamiast żalu krewnych, rodziny — skrzeczące sępy płakać mnie będą.
Pędź mój Meranie, uwiez mnie szybko ze złego losu zamkniętych granic.
Jeśli mu dotąd nie służył pan twój to nie ulegnie mu teraz za nic.

Niech raczej zginę sam bez opieki, przezeń przekłętą
Lecz jego ostrza już się nie lękam — ja wróg zacięty.
Pędź mój Meranie! Cwałuj bez końca, pędź szybko nogi!
Czarno skłębioną myśl moją oddaj wiatrom wśród drogi.

Wszystko na próżno, nic nie uleczy duszy skazanej, którą śmierć zgładzi.
Lecz droga nasza coś ją wyciosał rączy Meranie, już poprowadzi;
Dla druha mego będzie łatwiejsza utorowana mój wierny koniu,
Może szczęśliwiej, z koniem zuchwalszym czarny los uda mu się przegonić.

Niesie mnie, pędzi w bezdroża stepu mój Meran rączy,
Czarny kruk za mną kracze złowrogo, kracze uroczy.
Pędź mój Meranie! Cwałuj bez końca, pędź szybko nogi!
Czarno skłębioną myśl moją oddaj wiatrom wśród drogi.

AKAKI CERETELI (1840—1915)

SULIKO

Grobu najmilszej szukałem.
Nie ma go. Wieści znikąd.
Skarżyłem się i płakałem:
Gdzie jesteś — moja Suliko?

Sierocą różę postrzegłem
Wśród cierni — siostrę róż dziką.
Z bijącym sercem pytałem:
Czy to ty jesteś Suliko?

Pąk zadrzał jakby na zgodę,
Przytaknął główki skinieniem
I perły — rosy niebieskie
Jak łzy upadły na ziemię.

Słowik westchnienie zataił,
W zieleni skrył się — zamilknął.
Słodko pytałem ptaszyny:
Czy to ty jesteś Suliko?

Zachybotła gałązka,
Kwiat dziobkiem muśnięty spadł,
I westchnął słowik, zakłaskał,
Jakby chciał mówić: tak, tak.

Gwiazda świeciła nad nami.
Jasnym się dziwiąc promykom
Pytałem z nadzieją nieśmiałą:
Czy to ty jesteś Suliko?

Dała mi znak migotaniem
Gwiazda diamentowa
I obradował mnie wietrzyk
Do ucha szepecząc te słowa:

Jest oto, serce uciszy.
Odpocznij — zawsze jest twoją.
Spokojne dni cię uleczą
I słodkie noce ukoją.

Różą, słowikiem jest, — gwiazdą,
Jest podzielona na troje,
Gdyż na tej ziemi tak mocno
Kochaliście się oboje.

Pojąłem. Odtąd nie szukam
Jej grobu, co nas rozłączył.
Ludziom nie skarzę się więcej
I łez nie leję gorących.

Mam gwiazdę, różą oddycham,
Dla mnie śpiewając łśni słowik.
Lecz co się dzieje w mej duszy,
Język nie zdoła wysłować.

Życie otwarte przede mną,
Smutek i gorzki żal zniknął.
Odnaleziona na zawsze,
W trojgu — jedyna Suliko.



GEORGI LEONIDZE (ur. 1899)

NOC IBERII

Pola okryte czarnym welonem,
I drobne cienie sypią się w górach.
Z Darialu wolno na drugą stronę
Ku Chazaretii przepływa żuraw.

Ziemie Iberii dzienny żar spalił.
 Nad Kurą grają na tarach wierzby,
 Śpiewy flisaków płyną na fali.
 W wiejskiej sadzawce przystanął księżyc.

Błękitne plony w stodołach drzemią,
 Ziarno jak lampa jasno się żarzy.
 Dżingischanowie legli pod ziemią.
 Opowiedz bajkę stary młynarzu.

Mów nam jak stara i smutna Gruzja
 Lub sławmy w pieśniach piękne kobiety.
 Z Dariału wolno przepływa żuraw
 Na drugą stronę ku Chazaretii.

KIPCZACKA NOC

W stronę Kipczaku step pobielilo,
 Księżyc iskrzące światło rozsiewa.
 Z serca startego — maleńki pyłek
 Jeśli mi jeszcze został — zaśpiewam:

„Dla podróżników i żeglarzy...”
 We mgłach Czarnego Morza się skryłem.

W dali — ojczyzna — winnice, Jori
 Błyszczą jak świecznik wśród ciemnej nocy.
 Nie świeć mi piękno ojczystej strony.
 Jam moje serce z jej sercem złączył.

Nie wab mnie, nie świeć. Dla mnie rozlana
 Łśni droga mleczna w pustce stepowej.
 Tylu Kipczaków śpi po kurhanach —
 Każdemu własny czaprak — wezglowiem.

Śnią im się rzymskie pałace białe
 I dońskich kobiet gra na harmonii.
 Lecz nie rozświetlą więcej Dariału
 Ciężkie podkowy ich rżących koni.

Jak tratowali stepy trawiaste,
 Łamali żebra, miażdżyli kości,
 Lecz nie znaleźli w świecie lekarstwa —
 Dziś ziemię gryzą w bezsilnej złości.

DAWNI POECI

Stają przede mną pieśniarze Gruzji,
Starzy jak ona — z pieśnią przetrwali.
Jedni — w słowicznych sadach, pod różą,
Inni — na siodle wiersze pisali.

Spadały pieśni — deszcze rześiste,
Jak tysiącgłose ptaków świergoty.
Ze strun napiętych — tony tak czyste
Wydobywali. Ich głos nie ochrypl.

Szabla i pożar,
Dżuma, szarańcza
Upartej pieśni słów nie stłumiły.
Szota,
Besiki,
Guramiszwili,
Pszawela w skórze górskiego kozła.

Ich śpiew jak rzeka kraj nasz nawodnił,
Ożywczą rosą opadł na pola.
Dziś ku nam patrzą wzrokiem łagodnym,
Ze światłem, które lśni na ich czołach.

Świergotem matkę ziemię wzruszyli,
Ich śpiew pociechą na wieczne czasy.
Tu sobie gniazdo ze strun uwili
I zagnieździli się w nim na zawsze.

Z gruzińskiego przełożyli
Jan Braun i Mieczysława Buczkówna

